

M A G D A

K N E D L E R

Narzeczona
z
powstania

© Wydawnictwo WAM, 2022

© Magdalena Knedler, 2022

Opieka redakcyjna: Agnieszka Ćwieląg-Pieculewicz

Redakcja: Anna Śledzikowska

Korekta: Monika Karolczuk

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Zdjęcie na pierwszej stronie okładki: @Stephen Mulcahey/Arcangel Images

Zdjęcie autorki na okładce @ Dariusz Kobucki / Studio INIGO

Skład: Lucyna Sterczewska

ISBN 978-83-277-3303-0

MANDO

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200

www.wydawnictwomando.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496

e-mail: handel@wydawnictwomando.pl

Druk i oprawa: WYDAWNICZA • Kraków

Publikację wydrukowano na papierze Artis cream 70 g vol. 2.0

Tego wszystkiego jakoś nie przewidywaliśmy.
Nikt tak naprawdę nie miał umrzeć.

Janusz Kozłowski, *W baonie „Odwet”: Dziennik powstańca*

Maria

1938

I

Do Stolarczyka po fotografię

Tamten czerwiec. Ciepły, duszny, nasycony zapachami, jakiś taki wzruszający. Czerwiec Marysi. Lato Marysi, jej młodość i energia, tak wielka, że aż nie da się usiedzieć w miejscu. Jej loki nad czołem i uśmiech sięgający oczu, zawsze sięgający oczu. Była szczęśliwa. Nawet jej upał nie przeszkadzał, nawet przyklejona do pleców biała bluzka. Nos niemal przycisnęła do tramwajowej szyby, wiedziała, że zbliżają się do ulicy Odrowąza, już za chwilę zobaczą rzędy dumnych topoli, ale najpierw... Znowu uśmiechnęła się do siebie i umościła wygodniej na siedzeniu. Inni pasażerowie robili to samo, każdy instynktownie przyjmował odpowiednią pozycję, chwycił poręcz, rozstawił szerzej stopy, by w razie czego złapać równowagę. Wzięła głęboki wdech. Wjechali w Odrowąza i mieli teraz przed sobą niezabudowany odcinek torowiska, ciągnący się wzdłuż cmentarnego muru, bez żadnych odchodzących od niego prostopadłe uliczek aż do samego Domu Dozorców. Głowy wychyliły się w stronę motorniczego, a ten zakręcił korbą i wrzucił „dziewiątkę”. Tramwaj szarpnął się jak pies na uwięzi, po czym pomknął przed siebie, kolebiąc się mocno na boki. Jakaś dziewczynka głośno pisała, ktoś się zaśmiał, motorniczy wesoło kiwał głową.



Tak było. Prawda? Chciałabym ci powiedzieć, że jeszcze przez długie lata będziesz pokonywać tę trasę. Wiele się zmieni, pojawią się nowe tramwaje, nowe szyny, nowi ludzie wokół, ale ty tu zostaniesz. Za kilkanaście lat powiesz swojej córce, by uważała i czegoś się złapała, bo zaraz będzie szybciej, będzie trzęsło, każdy już na to czeka. Uśmiechniecie się do siebie. Może nie będziecie już wtedy mieszkać na Bródnie, ale przyjedziecie do kogoś z wizytą. Wiesz, że tej okolicy nie można opuścić na zawsze. Pokażesz córce, gdzie spędziłaś młodość. Skąd jesteś. Chciałabym ci powiedzieć, że tak będzie zawsze i nie musisz o nic się martwić. Nie mogę. Bo już wiem, że dla ciebie zmieni się wszystko, kilka uśmiechów i zdjęć później, kilka czułych uścisków i pocałunków, kilka beztróskich spacerów i kilka decyzji, które podjęto bez twojego udziału, gdzieś na szczycie, przy błyszczących biurkach i na wygodnych krzesłach, tam gdzie łatwo się decyduje o losach świata, o czymś życiu i śmierci. O twoim życiu. O tym, co utracisz i czego nigdy już nie odzyskasz. Na razie jednak nadal masz siedemnaście lat, białą bluzkę i krótkie, modne loki, a tramwaj mknie przed siebie.



Wreszcie pojawiła się przed pasażerami ceglana bryła Domu Dozorców, w którym mieściło się męskie gimnazjum i którą przebiegała jedna z głównych tras spacerowych Stasi, młodszej siostry Marii. Bo zdaniem Stasi „zawsze to miło mieć na czym oko zawiesić”. Nie mówiła oczywiście o budynku. Marysia zazdrościła jej czasem tej

śmiałości i pewności siebie. Sama rumieniła się po cebulki włosów na myśl o tym, że okoliczny teren ze stawem – na urządzenie terenu sportowego – подарował szkole 36. Pułk Piechoty Legii Akademickiej. Bo w tym pułku służył Walek. I nawet była z nim raz w tej szkole, w Domu Dozorców. A dokładnie w kinie, na *Tar-zanie*. Matka nie zgodziła się, by ją zabrał na Pragę, do Domu Żołnierza koło mostu Kierbedzia, do kina z prawdziwego, albo przynajmniej z „prawdziwszego”, zdarzenia.

Poszli więc tutaj. Siedzieli na ławkach gimnastycznych i już w połowie filmu nie mieli pojęcia, co zrobić z nogami, które całkiem im ścierpły. Oboje byli wysocy i szczupli, kolana mieli niemal pod brodą, a Maria włożyła oczywiście pantofelki na obcasie, żeby było ładnie. Wąską spódnicę musiała przyciskać dłońmi do nóg, aby się nie zsuwała, bo oczywiście nie pomyślała o tym, by włożyć wygodniejszą, rozkloszowaną. O trzymaniu się za ręce nie było więc mowy, choć Walek podjął nieśmiałą próbę, która zakończyła się muśnięciem jej uda, gwałtownym wciąganiem powietrza, nagłą nerwowością i rumieńcami widocznymi nawet w zaciemnionej sali. Kiedy zaś usiłowała nonszalancko założyć nogę na nogę, z nadzieją, że to zatrzyma jakoś spódnicę w miejscu, kolanem prawie wybiła sobie zęby. Walek przeproszał później Marysię za „tę sytuację”, co tylko spotęgowało jej zażenowanie.

Kupił czekoladki i kwiaty, odprowadził do domu, wpatrywał się w nią jak w obrazek i ogólnie mogło się to wszystko zakończyć pięknym pocałunkiem pod gwiazdami, tyle że ona cały czas myślała o serii porażek na sali kinowej. Poskarżyła się mamie, kiedy tylko weszła do domu. Stasia popłakała się ze śmiechu.

– Do Dziadówki poszli! – krztusiła się. – To się musiało tak skończyć. Bilet po dziesięć groszy! Dlatego tych czekoladek nakupował

i kwiatów! Pewnie mu wstyd było, że bilety takie po tanioci i ławki gimnastyczne!

Marysia zrobiła się czerwona jak burak, a Stasia dostała czkawki. Matka – dumna Julja, która miała w sobie chwilami niemal arystokratyczną wyniosłość – tylko machnęła ręką. Ojciec zaś odparił fajczkę i miłosiernie powstrzymując śmiech, powiedział:

– Już jej mogłaś pozwolić jechać na tę Pragę, Julcia. Z kim jak z kim, ale z Walkiem? Dobry chłopak, kwiaty przynosi wam wszystkim trzem, choć tylko do Marylki się zaleca. I się nie zastanawia, czy zasłużyłyście, a ja to bym się na przykład zastanowił. Jak do pańskiej córki przychodzi, a nie jak do rodziny zwykłego robotnika. Włos by jej z głowy przy nim nie spadł. On by ją własną pierśią przed bandziorami osłonił w razie konieczności. Tacy jak on zawsze krótko żyją i tragicznie kończą, ale przynajmniej są porządni.

– Nie jesteśmy w kościele na kazaniu, panie znawco ludzkich charakterów – odparła Julja, stawiając na stole talerze.

Ojciec posłał jej nad stołem dziwne spojrzenie, które Marysi nie mówiło nic, ale matce musiało powiedzieć wiele.

– Trochę się w życiu napatrzyłem na różne rzeczy – dodał cicho. – To coś tam wiem.

Julja więcej się nie odezwała.

Na to wspomnienie Maria nadal rumieniła się aż po cebulki włosów. Porażka z kinem w Domu Dozorców miała miejsce przed miesiącem i odtąd Walek zrobił się nieco ostrożniejszy. Nie zaproponował już więcej żadnego seansu, choć jak dla niej mógłby i zaproponować znowu *Tarzana*, bo za pierwszym razem nie zapamiętała z filmu zupełnie nic. Przyszedł dwa razy w niedzielę na herbatę, raz zabrał ją na spacer. Oboje mieli w czerwcu dużo

pracy, ale nie wiedziała, czy to jedyny powód rozluźnienia znajomości. Kiedy patrzyła w jego oczy, widziała w nich wciąż to samo oddanie. Wciąż ten sam błysk, jak wtedy, gdy zobaczyli się po raz pierwszy rok temu w Krakowie. On był tam wtedy ze swoim pułkiem, a Marysia wraz z innymi dziewczynami z Przysposobienia Wojskowego Kobiet wozila na taczkach piasek i sypała kopiec marszałka Piłsudskiego. Oni maszerowali pewnego dnia ulicami miasta, one stały na chodniku. On spojrział na nią, ona spojrzała na niego, a koleżanka Irenka krzyknęła:

– Zobacz, Maryś, to przecież nasi chłopcy z 11 Listopada!

Zrobiło się jej gorąco na myśl, że pułk stacjonuje tak blisko Bródna, na Pradze, na ulicy 11 Listopada, że od niej tylko kilka przystanków wystarczy przejechać tramwajem, a uparty nawet piechotą przejdzie. I spotkali się tak daleko od domu, w innym mieście, w miejscu, do którego nie należeli. Czyżby przeznaczenie? Tak by pewnie pomyślała, gdyby była inna, bardziej uduchowiona i mniej praktyczna. A jednak wtedy poczuła w środku coś dziwnego. Miała wrażenie, że wydarzyła się ważna rzecz.

Walek musiał usłyszeć Irenkę, bo dowiedział się jakoś, gdzie w Krakowie stacjonują warszawskie pewiaczki, przyszedł, poprosił Marysię o chwilę rozmowy, zdjął czapkę i nisko się uklonił. Trudno powiedzieć, czy wtedy jeszcze oddychała. Miała wrażenie, że jest obok, patrzy na siebie z zewnątrz, zachęca samą siebie do większej odwagi. „Nie bądź taka wycofana”, mówi. „Uśmiechnij się jakoś ładniej”. „Powiedz coś mądrego, cokolwiek, byle miało sens”. Usłyszała samą siebie, ale nie posłuchała. Wciąż były jakieś bariery, tam w środku. Coś, co usztywniało mięśnie twarzy i krępowało ręce. A przecież czuła, że to ważny moment i być może właśnie kształtuje się jej przyszłość. Ich przyszłość, wspólna.

– Walenty Mickiewicz, do usług szanownej pani – przedstawił się.

– Maria Gołyńska – odpowiedziała.

– Czy panna pozwoli się odwiedzić w Warszawie?

Skinęła głową i podała mu adres. Przyszedł. Bardzo po staroświecku najpierw zmordował herbatę w małym saloniku jej matki, a kiedy Julja już go przesłuchała, zabrał Marysię na pierwszy spacer. Spacery to jednak nic. Wciąż pamiętała, jak jego pułk przyszedł na tańce, które organizowali na Bródnie w jednym z klubów należących do Warsztatów Kolejowych. Orkiestra zagrała pierwszy taniec, panny podpierały ściany, chłopcy przestępowali z nogi na nogę, a matki i ciotki obsługujące bufety przewracały niecierpliwie oczami.

– Za mojej młodości to ci mężczyźni byli jacyś inni – szepnęła Julja, która na tańce przyniosła swój najlepszy sernik.

Marysia zerknęła na nią spod półprzymkniętych powiek.

– I gdzie ci panowi byli tacy inni, mamuniu? W Mińsku czy w Helsinkach?

Lubiła ją czasem tak przyłapać, bo wtedy Julja nie miała gotowej odpowiedzi. Mrugała gwałtownie oczami, bladła i zaczynała się wachlować tym, co akurat miała pod ręką. Teraz była to papierowa serwetka, która po chwili żałośnie oklapła w jej dłoni. Marysia wiedziała, że matka szykuje się do riposty, ale w tej właśnie chwili pusty parkiet pewnym krokiem przeciął Walek, wyraźnie zmierzając w ich kierunku. Zaschło jej w gardle.

– Czy panienka zatańczy?

Poszła z nim niemrawo na środek sali, odprowadzana szeptami i chichotami koleżanek. Przypomniało jej się, jak matka mówiła kiedyś o kimś, kto dostał wylewu krwi do mózgu, i była pewna,

że właśnie teraz to ma. Walek przycisnął ją do siebie mocno. Żadnych tam dystansów, pozorów, żadnego pół metra dla Ducha Świętego, jak ksiądz uczył w salkach parafialnych, a jednocześnie wszystko z szacunkiem, z ręką w odpowiednim miejscu, z patrzeniem w oczy, głęboko, bardzo głęboko. Wszyscy musieli widzieć. Walek nie był z tych, którzy się wstydzą swoich uczuć. Nachylił się i powiedział jej do ucha:

– Chciałbym tańczyć dziś tylko z tobą. Czy masz już kogoś innego w swoim karneciku?

Przeklinała w duchu staroświecki pomysł – podsunięty oczywiście przez jej matkę, której się wydawało, że to przyjęcie w białoruskim dworze – by sporządziły sobie karneciki jak na dawnych balach, na których grano walce i menuety. Przy nich, poważnych młodzieńcach z pułku piechoty, którzy mają swój własny Dom Żołnierza, gdzie mogą sobie chodzić na karty i bilard, musiały wyglądać jak naiwne dziewczątka. Nie chciała, by Walek tak ją widział.

– Ostatnio na obozie PwK uczyli nas rzucać granatem – wypaliła.

Walek roześmiał się, ale nie cynicznie i żeby z niej zadrwić, lecz radośnie i szczerze.

– To wspaniale. I podobało ci się, Marysiu?

– Pan sądzi, że to śmieszne?

– Mów mi po imieniu, proszę.

– Walenty...

– Walek wystarczy.

– Dobrze... Walku, sądzisz, że to śmieszne?

– Nie, skąd. Ja się po prostu cieszę. Całe życie marzyłem o tym, by spotkać dziewczynę, która będzie umiała usypać porządny kopic ku pamięci Marszałka i rzucać granatem.

– Strzelać też potrafię – dodała zaczepnie.

– A zatem jestem zgubiony.

Odsunął ją od siebie na moment, by znowu mogli spojrzeć sobie w oczy. Tamtego wieczoru nie tańczyła z nikim innym.



Teraz uśmiechała się do swoich wspomnień, wysiadając z tramwaju i ruszając w stronę domu. Matka powiedziałaby pewnie, że śmieje się jak głupia do sera, ale w tej chwili nie miało to przecież żadnego znaczenia. Marysia wiedziała, co powinna zrobić, zanim wyjedzie na kolejny pewiacki obóz letni. Musi się spotkać z Walkiem. Powiedzieć mu, że tamto kino się nie liczy, że ona też... tak jak on...

Przystanąła na chwilę i zamyśliła się. A jeśli on jej jednak wcale nie kochał? Dawał jej wprawdzie różne rzeczy do zrozumienia, i to już od roku, ale niczego wprost nie wyznał. Może się bał? Może była za chłodna, zbyt zdystansowana? A może to matka go przestraszyła? Julja potrafiłaby przestraszyć każdego. Ale była dobrym człowiekiem. On też to wiedział. Może więc przesadzała i powinna spokojnie czekać. Problem polegał na tym, że niczego nie potrafiła robić spokojnie, a już zwłaszcza czekać. Ruszyła przed siebie, przyspieszając kroku.

Poczuła łaskotanie w żołądku, a oczy zaszyły jej łzami, co zdarzało się niezbyt często, bo przecież wzruszenia są dla egzaltowanych panien, które nie mają innego pomysłu na życie, jak tylko kochać się w kimś i wzdychać do strzelistych topoli. Niewiele znała takich panien, ale kilka się trafiło. Oczywiście raczej nie na kupiecko-robotniczym Bródnie, nie w szkole powszechnej na Białołęckiej i nie w szkole dziewiarskiej.

Takie dziewczęta mieszkaly w innej Warszawie, w Warszawie czystych ulic, kamienic o wielkich oknach, śniadań, które same pojawiały się na stołach, eleganckich restauracji, wykwintnych butików, gimnazjów i uniwersytetu. Warszawie, która nie była całym światem, a zaledwie jednym z miejsc do życia, takim jak na przykład dwór na wsi. Takie panny często pojawiały się na zbiórkach PwK. To było w dobrym tonie, bo bardzo pasowało do patriotycznych, konserwatywnych wartości, do uwielbienia dla ojczyzny, tradycji i odwiecznego porządku, w którym każdy miał swoje miejsce. Takie panny wszystko więc przyjmowały jako pewnik i nigdy nie miały żadnych wątpliwości. A Maria miała mnóstwo.

Maria nie zdobyła takiego jak one wykształcenia, nie skończyła gimnazjum i nie zdała matury, ale wiedziała o świecie więcej od nich. Na różne rzeczy zdążyła się już w życiu napatrzeć. Jeśli ktoś mieszkał na Marywilskiej, nie mógł na przykład nie widzieć baraków Annopola. Małe, ale wygodne domki pracowników Warsztatów Kolejowych, w tym jej ojca, sąsiedowały z kolonią dla bezdomnych, w której tłoczyło się teraz ponad dziesięć tysięcy osób. Kolonią ponoć nowoczesną i całkiem niezłe pomyślaną, z gazowymi latarniami, szwalnią, czytelnią, biblioteką, żłobkiem i kuchnią, z aktywnie działającymi organizacjami, jak „Kropla Mleka” czy świetlicami dla harcerstwa, Związku Strzeleckiego i Związku Pracy Obywatelskiej Kobiet. Z kościołem i synagową.

Do Annopola mieli trafiać tylko ci, którzy nie udźwignęli trudów życia albo z przyczyn niezależnych od siebie stracili pracę i źródło utrzymania, a później dach nad głową. A to nie było wcale takie trudne. Maria pamiętała opowieści ojca o kryzysie. Zaledwie garstka w Warszawie mogła się czuć bezpiecznie. Garstka uprzywilejowanych. Szybko sobie przyswoiła to słowo. W takim mieście

miało szczególne znaczenie, oddzielało od siebie dwa światy. Mały i szczelnie odgradzony od dużego i wciąż wchłaniającego nowe elementy. Widziała nędzę. Annopol podupadał z roku na rok na jej oczach. Przeludniony, brudny, z wiecznymi brakami w dostawach wody, cuchnącymi ustępami, pogłębiającą się patologią, przestawał być wzorcową kolonią dla bezdomnych i stawał się siedliskiem chorób, przestrzenią rozpaczy, ludzkich tragedii i śmierci.

Do szkoły na Białoleńskiej, którą Maria ukończyła przed trzema laty, przychodziły także dzieci z Annopola. Bose i brudne. Jedną z nauczycielek, pani Matylda Welsch, myła im zawsze nogi i dawała kanapki. Mówiła, że mogą się uczyć tylko nakarmione i czyste. Trudno łaknąć wiedzy, kiedy burczy w brzuchu. Chodziła też do tych uczniów, którzy z różnych przyczyn nie pojawiali się na lekcjach. Pukała do drzwi baraków, siadywała na rozklekotanych krzesłach, tłumaczyła, że dzieci nie mogą opuszczać szkoły, że tylko w edukacji dla nich nadzieja. Marysia wybrała się kiedyś razem z nią. Zniosła swetry, szaliki i skarpety, które sama wydzierała. Jednemu chłopcu pomogła odrobić lekcje, akurat miał problemy z rachunkami.

W drodze powrotnej pani Welsch mówiła, że Marysia powinna iść na nauczycielkę. Dobrze się uczy, ma podejście do dzieci. Do ludzi w ogóle. Wszyscy ją przecież lubią. Jest mądra. Ale Marysia kręciła głową. Miała inny plan na życie. A właściwie kilka planów. Chciała być majstrem dziewiarstwa – bo niby dlaczego dziewczyna by nie mogła? Chciała być pewiaczką. Chciała działać społecznie. Liczyła, że wreszcie wymyśli, jak to ze sobą pogodzić.

Kochała Bródno, swój dom. Trafiali się tacy, co twierdzili, że jeśli ktoś jest z Bródna, to tak naprawdę wcale nie z Warszawy, ale Marysia lubiła to zawieszenie między wielkim miastem a senną

provincją, była trochę stąd i trochę stamtąd, uwielbiała wycieczki do Śródmieścia i równie mocno uwielbiała powroty. Niskie domki, otwartą przestrzeń, życie tętniące w rozwidleniu ulic Białoleckiej i Wysockiego, gdzie mrowie ludzi kręciło się przy wejściu do kościoła, wokół szkół, przed pocztą, kinem, domem strażaka, w wejściach do sklepów, gdzie często klienta witał sam właściciel, wołając już od progu, że to wspaniale pana szanownego widzieć, bo właśnie świetny towar jest, jakby dla pana szanownego stworzony. Jeśli miała czas, udawała się po południu spacerkiem na Palestyńską i przy wejściu na teren Warsztatów Kolejowych czekała na wychodzącego z pracy ojca. Machała do niego, a on zapinał płaszcz i wyciągał fajkę. Zawsze jej dał raz czy dwa pyknięć, a później szli po miętówki.

– Tylko matce nic nie mów, bo mi łeb ukręci – prosił.

Kiwała głową. Nie lubiła taić niczego przed mamą, ale to była przecież wyjątkowa sytuacja, zacieśniała więzi z ojcem, mieli ten moment tylko dla siebie. Pykała więc raz czy dwa fajkę, później ssała miętówki, aż ją mdliło, a on opowiadał, jak było w pracy. O dziwo, lubiła o tym słuchać. Józef był majstrem w dziale naprawczym, w rękach ciągle miał jakieś śrubki, nie istniała absolutnie żadna rzecz na świecie, której by nie potrafił złożyć, rozłożyć, zreperować, przerobić. Podobnie jak nie istniał na świecie żaden zamek, którego by nie umiał otworzyć. A jednak kiedy o to pytała, zawsze odpowiadał:

– Ty się już tak nie interesuj.

Była jednak konsekwentna i wytrwała, umiała płynnie przejść od jednego tematu do drugiego i zawsze jakoś nawiązać do tych zamków. Zbýwał ją, ale pod nosem się uśmiechał. Nigdy nie opowiedział Marysi swojej historii od początku do końca. Znała ją tylko we fragmentach, miała kilka punktów zaczepienia, parę faktów

i całe mnóstwo domysłów. Podobnie było z historią Julji. Maria wiedziała, że rodzice poznali się w Finlandii podczas tamtejszej wojny domowej. I że ojciec miał wtedy inną żonę i syna, że razem z nimi w maju osiemnastego roku wypłynął z Helsinek do Lipawy, a później przez dwa lata mieszkał w Wilnie. Że stracił swoją rodzinę, przyjechał do Warszawy i ożenił się z Julją. Jak natomiast do Warszawy z Finlandii dotarła matka, tego już nie wiedziała. Miała jednak pewność, że Julja pochodziła z guberni mińskiej, że kochała Mińsk, że musiała stamtąd wyjechać, że zabrała ze sobą tylko książeczkę oszczędnościową, założoną w petersburskim banku w 1913 roku, a także jedno jedyne zdjęcie z wypisaną na odwrocie dedykacją – „Na dobrą pamięć” – w języku białoruskim dla kogoś pana Randarewicza. Fotografia przedstawiała dziewiętnastoletnią dziewczynę w pięknej białej sukni. Marysia wiedziała, że Julja nie nosiła dawniej polskiego nazwiska, że język polski nie był jej pierwszym językiem. Że długo nie posługiwała się nim w piśmie. I czasem, w chwilach zapomnienia, zwracała się do swojego męża nie „Józef”, lecz „Osip”. Marysia oczywiście ją o to pytała. Ojca też. Oni odpowiadali zawsze półsłówkami i tylko porozumiewali się wzrokiem. Zaprzyjaźniła się więc z ich tajemnicami. Pokochała je, tak jak ich kochała.

Ja tak nie umiałam. Szukałam od dawna i szukam nadal. Mam dokumenty w języku rosyjskim należące do Józefa, syna Franciszka – Osipa Francewicza – i książeczkę oszczędnościową Julji Teodorowny Skipor. Mam też zdjęcie dziewiętnastolatki w białej sukni. „Dla p. Randarewicza, na dobrą pamięć, oddaję do rąk własnych – J. Skipor”. Jest na nim taka piękna i młoda. Taka nieświadoma przyszłości. Jeszcze nie wie, że czeka ją daleka podróż, tułaczka i samotność. Strata. Zmiana. Nadzieja. Jeszcze nie wie,

że niejeden raz zacznie od nowa. Że będzie mieć bliźnię – nie tylko na czole. Że Józefa – Osipa – pozna w Helsinkach. I że on odpłynie stamtąd do Lipawy bez niej. Za jakiś czas odnajdzie ją w Warszawie. Poprosi, by go poślubiła. Będzie już wolny. Na świadka wezmą Wincentego – robotnika, i Stanisława – kelnera. Julja się zgodzi. Powrotu już nie ma ani do miejsc, ani do zdarzeń, ani do ludzi. Trzeba spróbować ponownie. Mam ich akt ślubu, w którym Julja podała, że jest służącą i panną. Książeczka oszczędnościowa i zdjęcie klóćą się z tym dokumentem, a jej historia jest pełna sprzeczności. Tylko dwie pamiątki wyniosła z dawnego życia. Dwie pamiątki i opowieści, w których nie zgadzają się szczegóły.

Ja mam to, a ty masz tramwaj, białą bluzkę, uśmiech i dom, do którego wracasz. Masz swoją historię, jeszcze taką krótką. I idziesz, idziesz do nich. Wciąż tam jesteście.



Józef stał oparty o płot i pykał fajkę. Pomachał do Marysi i skinął ręką w stronę domu.

– Skaranie boskie z tymi babami.

Pchnęła furtkę i weszła do ogródka. Zaciągnęła się zapachem świeżo skoszonej trawy. Zastanawiała się czasem, czy ojciec nie czuje się tu trochę uwięziony po tych swoich wszystkich wojażach, po burzliwym, pełnym przygód życiu, które nauczyło go różnych rzeczy, w tym otwierania zamków. Przyjrzała mu się uważnie. Widziała zmarszczki wokół oczu, lekko wysuniętą zuchwę i jasne zielone oczy kontrastujące z wciąż ciemnymi włosami. Miał czterdzieści lat, kiedy się urodziła, więc był już właściwie starszym panem. I właśnie wtedy zaczął życie na nowo, z Julją. Oboje zaczęli.

Spis rozdziałów

Maria. 1938	7
1. Do Stolarczyka po fotografię	7
2. Spojrzenia, cisza i słowa	28
3. Muzyka, pan Bodo i prysie w Savoyu	56
4. Na dębie, na dębie, hej, siup, na dębie	66
5. W zaklętym bajce świat	81
Rudolf. 1938	95
1. Chichoty	95
2. Romanse i awantury	119
Maria. 1939. Sierpień – grudzień	128
1. Jutro będzie...	128
2. Alarm dla miasta Warszawy	144
3. Gwiazdziste niebo i bezimiennie groby	164
4. Teraz	178
5. Wśród nocnej ciszy	193
Rudolf. 1939–1942	198
1. Muzyka i strach	198
2. Wojna obronna	200
3. 1941. Powrót	207
Maria. 1941–1943	209
1. U nas, w Warschau	209
2. Ci, którzy znikają	222
3. <i>Siekiera, motyka, piłka, deska, Już ulica Skaryszewska</i>	225
4. Gienek	237
5. Ocalić	249
Rudy. 1942–1943	261
1. Tożsamość	261
2. Życie zza muru	269
3. Ona, w chaosie	277
4. To nie jest kolejna	287
5. Ocalić	301

Maria. 1944. Lipiec–październik	311
1. Miejsca, które znamy	311
2. U nas, na prawej stronie	336
Rudolf. 1944. Lipiec–październik.	344
1. Ostatnia noc lipcowa	344
2. Godzina „W”	348
Maria. Listopad 1944 – grudzień 1945	361
1. W cieniu „Toledo”	361
2. Osnowa i wątek	377
3. Ku kolejnej zimie	386
Rudolf. Październik 1944 – grudzień 1945	401
1. Warszawa padła	401
2. W Saksonii	412
3. Z powrotem albo prawie	419
Maria. 1946–1951	428
1. Siostra z dzikiego Zachodu	428
2. Ci, którzy pasują	437
3. Nowe	442
4. Jeszcze jeden powrót	444
5. Przyszłość jest już	451
6. Drugie pokolenie	462
Rudolf. 1946–1951.	468
1. Wspomnienia i grobowce	468
2. Nowe życie	479
3. To, co nie wraca.	487
4. Z kimś innym	492
Rudolf. 1968	505
1. Zakończeniem jest...	505
Maria. 1968–1991	518
1. Zakończeniem jest zawsze...	518
2. Z takim sercem się nie żyje	526
Od autorki	535
Najważniejsze źródła.	540